

Od autora: wizyta zacnego gościa w Radomiu wiąże się z wizytą w muzeum, gdzie bohater główny dokona niesamowitego odkrycia. Tak?

Niebo pociemniało, po szybach spływać zaczęły ciężkie krople deszczu.

- Ono umarło. - cicho wyszeptał Dominik, wpatrując się ścianę lasu, rozciągającą za oknem. Czarne kontury drzew falowały od wiatru, miarowo i dostojnie kołysząc swymi konarami. Siedział z rękami opartymi o brodę, co chwila wycierał wierzchem dłoni wilgotne oczy od łez. Sam smutek - czysty smutek miał wypisany na twarzy.

- Co tak siedzisz cicho, mój ty puszysty misiu? - do pokoju weszła Katarzyna, niosąc pod pachą złożony egzemplarz "Gazety Wyborczej".

- Ty płaczesz? Co się dzieje? - nachyliła się nad Dominikiem i czule spojrzała mu w oczy.

- Nic. - cicho odpowiedział, odwracając się, by żona nie widziała jego łez. - Nic absolutnie się nie dzieje. Coś mi tylko wpadło pod powiekę.

- Oj, mój misiu, ty kłamać nie potrafisz. Spójrz na swoją kruszynkę i powiedz, co cię boli. - Katarzyna nie dawała za wygraną. Naciskała delikatnie na męża, by ten wyjawił swoje problemy. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Daj mi spokój, kruszynko. Nie mam teraz ochoty na rozmowę. Bardzo cię proszę... - Dominik odepchnął delikatnie swą żonę, nie patrząc na jej współczującą twarz.

- No dobrze. - westchnęła kobieta. - Wracam więc do lektury gazety. Wiesz, piszą tu o bazyliisku, który pojawił się w Puszczy Kieleckiej. Bardzo ciekawy reportaż. Miałam ci właśnie o nim opowiedzieć, lecz widzę, że wolisz być sam.

- Dziękuję ci, kruszynko. Doceniam to.

- Tylko nie siedź za długo. Zmrok już zapadł, ja niedługo kładę się do łóżka. A sama nie lubię leżeć w pościeli. Wiesz o tym.

- Wkrótce przyjdę. - Dominik opuścił głowę, a jego głos był tak smutny, aż ścisnął sercem Katarzyny. Kobieta podniosła się z kolan, zgrzytnęło jej nieprzyjemnie w stawach i, powoli, poszła w stronę drzwi. Nie podobało jej się dziwne zachowanie męża, jego załzawione oczy i sposób wysławiania. Westchnęła i podreptała do sypialni, gdzie miała zamiar zagłębić się w lekturze gazety, wziąć potem prysznic i położyć się spać.

- Co tam ukrywasz przede mną, misiu? - powiedziała cicho do siebie, gdy już usiadła na swoim ulubionym krześle, stojącym obok lampki nocnej. Otworzyła "Wyborczą" na piątej stronie, gdzie znajdował się długi artykuł o tajemniczym latającym stworzeniu, terroryzującym kilka wiosek leżących nieopodal Kielc. Podczas czytania otworzyła szeroko usta ze zdziwienia, tak niesamowita była to historia.

.....

kilkanaście godzin wcześniej

Byłem w służbach pomocniczych przy organizacji pielgrzymki Papieża do Radomia. Nosilem plastikową plakietkę na szyi i żółtą kamizelkę bez rękawów. Na jej plecach widniał symbol "gołąbka pokoju". Jakże ważna i odpowiedzialna była to praca. Już od świtu biegałem po ulicy, którą popołudniem miał przejechać samochód, wiozący najznakomitszego gościa, prosto ze stolicy Apostolskiej. Pomagałem ustawiać metalowe barierki wzdłuż krawężników, nosilem krzeselka dla gości vipowskich, odpowiadałem na setki pytań, zadawanych przez wzruszonych radomian. "*Taka wizyta, taka wizyta*" - mówili ze łzami w oczach starsi ludzie, przesuując w palcach części różańca. Chcieli wiedzieć - którądy (tędy), o której (po pierwszej), gdzie (do Katedry), na jak długo (na krótko, bo dziś tylko) - wszystko to ze spokojem im objaśniałem. Zabiegany byłem okropnie, nie zauważyłem nawet, jak minęło południe i tłum począł nadmiernie gęstnieć. Setkami, tysiącami, ludzie schodzili się z całego miasta, przyjezdni z szli dworców, a na dachach kamienic i wieżowców stali gapie. Gdy nadeszła godzina przejazdu Papieża, znajdowałem się na samym tyle masy ludzkiej, gdzie ustawiałem jeszcze ostatnie barierki. Z tego miejsca nie mogłem nic zobaczyć, a przecież mieliśmy, my, ze służby pomocniczej, wydzielone specjalne miejsce, sektor, przy samej ulicy, z pięknym widokiem na dostojnego gościa. W te pędy pognałem więc, omijając łukiem skupiska pielgrzymów, po trawnikach, między drzewami, do naszego sektora. Zdążyłem w samą porę. Gdy, zdyszany i zziębnięty biegiem, znalazłem się na miejscu, zobaczyłem pierwsze limuzyny wyjeżdżające zza zakrętu. Eskortowały one pojazd, w którego centralnym miejscu siedział Papież. Uśmiechał się dobrotliwie, błogosławiąc zebranych tłumnie wiernych. Machałem mu jak szalony żółtą chorągiewką, którą trzymałem w prawej dłoni.

- Niech żyje Papież!!! - krzychałem ja, krzyczeli ludzie wokół mnie, wszyscy krzyczeliśmy w euforii.

W katedrze stałem pod ścianą bocznej nawy. Należałem do tych szczęśliwców, którzy weszli do środka i pilnowali porządku. Tu też musiały przecież działać służby pomocnicze, nie tylko ochrona Escelencji, wyselekcjonowani dostojnicy kościoła oraz polityczni i garstka zwykłych wiernych. Taką umowę mieliśmy z Kurią. Papież nie odprawił mszy. Odczytał tylko homilię, po czym usiadł zmęczony na złotym tronie. Dalszą część prowadzili kardynałowie. Po dwóch godzinach zakończyła się cała ceremonia. Ludzie powoli poczęli opuszczać gmach Katedry, podekscytowani tym, co usłyszeli i widzieli. Nie wszyscy. Obok mnie stało dwóch jegomościów, czekając na wolną drogę do wyjścia. Jednego doskonale znałem z telewizji, przewodził Polskiemu Związkowi Piłkarskiemu. Rudy, niewysoki, krępy, wygadany.

- Porsche Macan to świetne auto, najlepsze w swojej klasie. Nowak takim jeździ i nachwalić się nie może. Mogę ci sprzedać nowiutkiego za 110 tysięcy. - mówił otyły mężczyzna, o wyglądzie polskiego biznesmena.

- Żartujesz sobie? - odparł mu prezes Związku Piłkarskiego. - To auto nie jest takie świetne. Jeździłem lepszymi. Mogę ci dać za nie najwyżej 70 tysięcy...

Dalszej części rozmowy nie słyszałem, bo panowie sobie poszli. Zastanawiałem się, jak można w takim miejscu, po takiej dawce emocji, rozmawiać o materialnej sprawie, jaką jest oferta sprzedaży auta? Co za ludzie? W tłumie zauważyłem też braci Golców, którzy stali w kolejce do wyjścia i o czymś ze sobą dyskutowali. Spojrzałem na ich ręce, ale nie mieli w nich trąbek, tylko żółte chorągiewki. Jakoś tak od zawsze mi kojarzyli się z tymi instrumentami dętymi.

- O, wujek! - krzyknąłem, lecz ten mój krzyk znikł w ogólnym zamieszaniu. Nie usłyszał, ale zauważył. Ciepły uśmiech zagościł na pomarszczonej twarzy. Przepchnąłem się w jego stronę i mocno potrząsnąłem

wyciągniętą do mnie dłonią starca. Zaraz też tłum nas rozdzielił, ja popychany byłem w stronę rozwartych wrót Katedry.

Godzinę później Papież był już w drodze do Sandomierza. Centrum Radomia powoli pustoszało, pielgrzymi wyjeżdżali, mieszkańcy wracali do swoich domów, służby pomocnicze zbierały barierki, krzesła, śmieci. Przed szóstą, gdy skończyliśmy swą pracę, byłem wykończony. Zdałem plakietkę i kamizelkę w siedzibie Kurii, pokwitowałem odbiór wynagrodzenia i, piechotą, skierowałem się w stronę głównego deptaka miasta. Prohibicja została zniesiona godzinę temu, więc w ogródkach piwnych oraz w licznych pubach siedziało mnóstwo ludzi, młodych i starych, racząc się zimnym piwem. Śmiali się, rozmawiali, palili papierosy, pochłaniali w ogromnych ilościach złocisty płyn.

- .. *wódka rymuje się z prostytutka, nie?.. Sartre wielkim egzystencjalistą jednak był ... Ostatni wyjazd do Siedlec był udany, dwa zero do przodu i awantura z Psami... Kto teraz stawia browar?... Ale się usrałeś Hipolicie... Widziałeś Papieża?* - dolatywały do mnie urywki rozmów, prowadzonych z ożywieniem na świeżym powietrzu. Zapowiadał się piękny, lipcowy wieczór.

Przesuwałem się obok tej wesołej cizby, powłócząc bolącą nogą. Jakiś skurcz w nią wszedł, po tej mojej całodniowej pracy w służbach pomocniczych. Zauważyłem kolegę, siedzącego przy jednym ze stolików, na zewnątrz Baru "Kajtuś". Przywitaliśmy się bez słowa, podając sobie dłonie. Był operatorem koparki w swojej własnej firmie budowlanej.

Jakoś dotarłem do Parku Jeglanego, płuc miasta, noga strasznie mi dokuczała i musiałem przystawać co chwila, by się nie przewrócić wprost na chodnik, czym bym zrobił niezłe widowisko dla pijącej alkohol gawędzi. Zatrzymałem się przed Muzeum Archeologicznym, które wznosiło się między Parkiem a Urzędem Miasta. W latach dwudziestych i trzydziestych mieściło się tu najlepsze w Radomiu gimnazjum publiczne, po wojnie budynek został przemianowany na muzeum. Dziś było otwarte do dwudziestej drugiej, więc, z czystą przyjemnością, wszedłem do środka.

Od dawna planowałem zobaczyć nową wystawę, dotyczącą starożytnej Grecji. Poprzednią, o początkach państwa polskiego, obejrzałem kilkakrotnie. Lubię tu przychodzić, oddychać atmosferą tych starych murów, w ciszy kontemplować atmosferę.

- Jeden ulgowy poproszę. - zwróciłem się do kasjerki, czytającej jakiś magazyn kobiecy.

- Widział pan może Papieża? - spytała się, podając mi bilet. - Ja nie miałam jak iść pod Katedrę, bo cały dzień dzisiaj tu siedzę.

- Byłem w służbach pomocniczych. - odparłem z dumą. - Stałem w środku Katedry, gdy Papież przemawiał.

- Co pan powie.. - pokiwała głową kasjerka. W tonie jej głosu poczułem lekki smutek. - A ja tu tkwie jak kołek za tą szybą, gdy taka persona odwiedza nasze miasto. Już drugiej takiej szansy nie będzie, by do nas przyjechał, co?

- Nie wiem. - odparłem zgodnie z prawdą. - Może jeszcze kiedyś przyjedzie..

- Może. Oby. Pan chce z przewodnikiem czy samemu zwiedzać? Przewodnik będzie za piętnaście minut, gdy skończy z ostatnią grupą...

- Mogę sam. Dziękuję.

- Proszę. - pokiwała głową i zagryzła usta. - Wie pan, zazdroszczę panu.. - krzyknęła jeszcze za mną, gdy już skręcałem w lewy korytarz.

Muzeum było spore. Na parterze mieściło się pięć sal ekspozycyjnych, cztery sale na pierwszym piętrze a w piwnicach były lochy, w których mieściły się wystawy stałe - pokój Leszka Kołakowskiego, sceny z radomskiego Czerwca 1976, zwierzęta Puszczy Kozienickiej i eksponaty z Grodziska "Piotrówka". Lubiłem szczególnie tą ostatnią, bo od dziecka darzyłem sporą estymą najstraszniejszą część Radomia. Mieszkalem wtedy w domku, znajdującym się zaledwie sto metrów od wejścia na teren wykopalisk. Bawiłem się tam często jako dzieciak, zdarzało mi się znaleźć czaszki ludzkie, kości czy też fragmenty naczyń. Ależ to było fascynujące dla mnie.

Starożytna Grecja. Chodziłem po wielkiej sali i oglądałem skorupy, mozaikę, posążki oraz inne przedmioty pochodzące z tamtego okresu i kraju. Nikogo prócz mnie nie było w pomieszczeniu, późna pora widocznie skutecznie odstraszyła zwiedzających. Mnie to pasowało, lubię obcować z historią w samotności. Z rękami założonymi na plecach, podziwiałem wspaniałe eksponaty, wypożyczone do Radomia z kilku europejskich muzeów.

Nagle wzrok mój padł na wazon, stojący samotnie na półce. Przyciągnął moje spojrzenie niczym magnes. Podeszedłem bliżej, by się mu przyjrzeć. Brązowy czubek, niżej, na jasnym tle, kunsztownie namalowane wizerunki greckich herosów. Naczynie miało może pół metra wysokości.

- Chwilę... - powiedziałem do siebie. - W domu mam taki sam, tylko mniejszy.

Przybliżyłem się do tabliczki z opisem eksponatu: *Wazon z okresu Dynastii Zhou. Wykonany techniką.....(ten element pominąłem) Znaleziony na greckiej wyspie Kreta, w mieście Chania. Zastanawiający eksponat, świadczący o wymianie handlowej pomiędzy Grecją a Chinami w drugim i trzecim wieku przed Chrystusem. Świadczy to o(też pominąłem ten fragment). Wartość przedmiotu: bezcenna. Ten dzban jest tylko repliką, prawdziwy egzemplarz znajduje się w Muzeum Narodowym w Atenach. Pokazywany jest tylko w wyjątkowych okolicznościach z powodu swojej niewyobrażalnej wartości dla kultury greckiej. Nigdzie indziej, na całym świecie, nie odnaleziono podobnego naczynia.*

Dalej nie czytałem. Grecki wazon wykonany w starożytnych Chinach? Dokładnie taki sam wykopałem czterdzieści lat temu w Grodzisku "Piotrówka". Stoi w moim domu, na regale, od tamtego czasu. Co jakiś czas wycierałem z niego kurze, raz mi wysliznął się z rąk, spadł na dywan i odpadły mu uszy. Nie robiłem z tego powodu wrzasku ani jakiś problemów. Uszy wyrzuciłem do kosza a wazon postawiłem na regał, tak jak stał. Nikt z domowników nie zwrócił nawet na ten uszczerbek uwagi. Kawałek skorupy, nic więcej, który służy nam czasem jako podpórka do zdjęć.

Chłodno mi się zrobiło w głowę. Spocily mi się plecy, a po klatce piersiowej przeszedł dreszcz. Wszystko równocześnie. Niczym zahipnotyzowany wyszedłem z Muzeum, wsiadłem do taksówki, stojącej na postoju obok i poprosiłem o kurs na Wośniki, gdzie mieszkam w domku jednorodzinnym, tuż obok osiedla czteropiętrowych bloków.

Usiadłem przy biurku, oparłem swą brodę o dłonie i zacząłem wpatrywać się tępo w las, rosnący za oknem. Pomyślałem o swoim marzeniu bycia bogatym. Marzeniu, które towarzyszyło mi od osiemnastego roku życia. Teraz ono umarło. Popłakałem się, akurat w tym momencie do pokoju weszła moja żona. Za-

czął padać deszcz.

Koniec

Ps. Bazyliszek nad Kielcami? Co w tej "*Wyborczej*" wypisują?

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Konrad Mazur, dodano 09.02.2018 21:11

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.